

© Agora

WYSOKIE OBCASY

26.01.2002

Leszek Wołoskiuk

Lisaweta von Zitzewitz. Pojednawczyni

Przyjechałam do Warszawy jako Europejka, ale Polacy nie pozwolili mi być „tylko” czy „aż” Europejką. – Jesteś przecież Niemką – przypominali.

Urodziłam się po wojnie. Dzisiejsi Niemcy sądzą, że na Pomorze Zachodnie przyjeżdżają z RFN tylko starzy, tu wychowani ludzie. Jestem wprawdzie „obciążona dziedzicznie”, ale nie przeżyłam bólu rozstania z ziemią rodzinną jak mój ojciec Heinrich Eugen von Zitzewitz i jego rodzina, która w 1945 r. musiała opuścić Zitzewitz, dzisiejsze Sycevice, rodowy majątek leżący między Sławnem i Słupskiem.

Mój ojciec mało o tym rozmawiał, tylko czasem wspominał lasy, łąki i z rzadka rozrzucone wsie: – Na Pomorzu jest tak pięknie. My, siostra i brat, nie rozumieliśmy. Wreszcie pojechałam tam w maju, kwitły właśnie łąki i drzewa w sadach, i zrozumiałam, o czym mówił. Marzyłam, żeby zobaczył to znowu. Kiedy odwiedził mnie z mamą w Warszawie, gdzie pod koniec lat 70. studiowałam filologię polską, poprosiłam, byśmy pojechali do Sycewic. Odmówił: – Nie lubię turystyki nostalgicznej.

Był najstarszym z siedmiorga dzieci. Jako 18-latek w 1943r. został powołany do Wehrmachtu i pod koniec wojny znalazł się w Niemczech, zwanych potem Zachodnimi. Jego rodzina długo nie mogła uciec z Zitzewitz, bo miejscowy nauczyciel, członek NSDAP, przestrzegał rozkazu Führera, by zostać do ostatniego Niemca, „aż zwycięstwo będzie nasze”. Kiedy w marcu 1945r. przeszedł front i Armia Czerwona zablokowała drogi na zachód, dziadek Wilhelm ruszył z rodziną na wschód, do krewnych w Zezenow (dziś Cecenowo) pod Łebą. Tam jego kuzynka poprosiła, by towarzyszył jej podczas rozmowy z Rosjanami. W tym „czasie kobiet” – kiedy czerwonoarmiści dokonywali gwałtów na kobietach – po prostu się bała. Rosjan zainteresowała jednak nie ona, ale 48-letni Wilhelm, bo niemieccy mężczyźni w wieku poborowym byli wtedy na froncie lub w niewoli. Aresztowali go i wywieźli. Szukaliśmy dziadka później przez Czerwony Krzyż, ale zniknął bez śladu. Babcia Elisabeth, z pomorskiego domu Puttkamerów, bez męża, bez zawodu, bez trójki najstarszych dzieci, musiała z czwórką najmłodszych zostać w Cecenowie aż do roku 1947.

Cecenowo leży na styku Pomorza Zachodniego z Pomorzem polskim. – Aż do wojny Słowicy, mieszkańcy bagien między Bałtykiem a jeziorami Łebsko i Gardno mówili w języku o rdzeniu słowiańskim – opowiada Kazimierz Kallaur ze Słupska, który pisze doktorat o historii tych ziem. – W przeciwieństwie do Kaszubów Słowicy byli protestantami. Kiedyś było ich na Pomorzu tak wielu, iż ostatnia księżna z dynastii Gryfitów kazała w XVII wieku przetłumaczyć dla nich modlitewnik. Do naszych czasów przetrwała grupka w wioskach rybackich. Gdy w 1945 r. przyszła tu Polska, ostatnim Słowińcom nie spodobał się jej ład polityczny. Nie znaleźli też zrozumienia u katolików, więc – jak wielu Mazurów, Warmian i Ślązaków – wyjechali do Niemiec. – Został po nich skansen w Kluce i Słowiński Park Narodowy – kończy Kallaur.

Brak strychu – wspólnota losu

Dopiero dwa lata po wojnie babcia zamieszkała w Berlinie z całą siódmką dzieci. Historia ta utkwiała w moim ojcu, jak wielka rana. Nie czuł nienawiści, dobrze znał powody, które doprowadziły do utraty stron rodzinnych. Po wojnie uczył się nawet rosyjskiego, dał mi na imię Lisaweta, bo u Dostojewskiego co druga bohaterka nosi to imię. Przez pół wieku jednak nie chciał odwiedzić ziemi ojców. Bał się, jak zareaguje na to, czego już nie ma.

– Ja nie wróciłam na Pomorze, bo wracać można tam, gdzie się wcześniej było – odpowiadam, kiedy Niemcy i Polacy pytają, czemu tkwię w Kulicach. – Ale poznaje je z ciekawością. Im dłużej tutaj jestem, tym bardziej czuję związek z tą ziemią. Odnajduję nie tylko zachowane tu ślady po rodzinie ojca, jak herby na dworach czy portrety w muzeach, ale również poczucie pewnej wspólnoty losu z dzisiejszymi mieszkańcami Pomorza. Stulecie XX było wiekiem wywózek. Choć Niemcy zostali wypędzeni ze swych wschodnich ziem z innych przyczyn jak Polacy ze swoich, to skutki dla następnych pokoleń były podobne.

Mój Ojciec po wojnie studiował w Berlinie najpierw aktorstwo, potem w 1955 r. skończył Akademię Sztuk Pięknych. Tam poznał mamę, Gertraudę z mieszczańskiej rodziny Ottona i Charlotte Niedtów. Mama marzyła, by zostać tancerką, co nie podobało się jej rodzicom. A że znała angielski, to pracowała u okupujących Niemcy Amerykanów jako tłumaczka i... uczyła tańca młodsze, odważniejsze dziewczyny.

– To jakiś hochsztapler – podejrzewał dziadek Otto Niedt, kiedy usłyszał arystokratyczne nazwisko przyszłego zięcia. Rodzice pobrali się w roku 1949. Ojciec, pozbawiony rodzinnego majątku, jak na tamte czasy ożenił się dobrze. A i mnie niczego nie brakowało. Przez pierwsze pięć lat mieszkałam z

rodzicami u dziadków Nietdów w willowej dzielnicy Berlina Lichterfelde. Już wtedy zauważyłam, że u babci Charlotte był strych, a na nim wiele gadżetów z przeszłości, a u matki ojca – nic. Kiedy przenieśliśmy się do Brunszwiku, koleżanki ciągle wyciągały jakieś starocie po prababciach. A my, dzieci uciekinierów – cóż mogłyśmy pokazać? Pierścionek z herbem po zmarłej babci? Walizkę z jej zeszytami? Potem zrozumiałam, że tradycja rodziny ojca zawiera się w słowach i że wcale nie jest mniej warta, ale dziecko odczuwa to, co widzi, czego może dotknąć. Bardzo nam brakowało pamiątek, które przypominałyby nam, kim jesteśmy.

Polacy, którzy ściągnęli na Pomorze w 1945 r., nie czuli się u siebie. Przez wiele lat mieszkali w poniemieckich domach, modlili się w poniemieckich kościołach, uczyli w poniemieckich szkołach, ale psychicznie nie oswoili się z tymi miejscami. W pewnym sensie oni też nie wiedzieli, kim są.

Dlatego – tak myślę dziś – wypędzeni Niemcy i Polacy mieszkający obecnie w ich domach i miastach dość łatwo potrafią się porozumieć. O tym przekonał się również mój ojciec. W latach 90. poruszyła go wiadomość, że w Sycewicach buduje się kościół. Katolicki, a on był protestantem, ale wyznania nigdy nie traktował ortodoksyjnie. Pomyślał, że mógłby ofiarować jakąś swoją rzeźbę dla tego nowego kościoła w rodzinnej wsi. Przyjechałby nie tylko jako turysta w poszukiwaniu przeszłości, ale mógłby coś tutaj wnieść. Przełamał się na trzy lata przed śmiercią. Ale jak! Ten „powrót” dał mu bardzo wiele, lekarze twierdzą nawet, że przedłużył mu życie, gdyż już wtedy był ciężko chory.

„Ta aleja prowadzi do Gaci, naszego drugiego majątku – pisał o Zitzewitz-Sycewicach w pamiętniku „Z pędzlem przez Pomorze” w 1995 r Heinrich Eugen von Zitzewitz. – Ojciec, Wilhelm von Zitzewitz, często jeździł nią konno i życzył sobie, abym mu towarzyszył. – Kiedyś zajmiesz moje miejsce, twój syn twoje, ale ziemia jest zawsze ta sama – powiadał. Z dokumentów wynika, że jesteśmy tu od 600 lat, pojedyncze akta sięgają 1140 r.” Wspomnienia opublikował sławieński rocznik „Dorzecze”, pismo Ziemi Sławieńskiej. Rzeźby, płaskorzeźby, płyty pamiątkowe zmarłego w 1998 r. artyści zdobiją dziś kościoły w Sycewicach i Sławnie. Pod koniec życia Heinrich E. von Zitzewitz uczył się polskiego. Pisał listy: „Drogi Pan Dyrektor, słyszę od Lisawety, że moja wystawa przychodzi też na Piła. Serdecznie dziękuję! Cieszę się że Pan interesuje się dla kontynuacja moich wspomnień ze Sławna.”

Berlin 1968

Jako 16-latką w ramach wymiany młodzieży na dwa miesiące znalazłam się w USA, na przedmieściu Chicago. Już przedtem zaczęłam się uczyć rosyjskiego z podręcznika ojca, ale raczej dla zabawy, bez celu. Dopiero w Stanach zrozumiałam, jak bardzo jestem związana z Europą.

Starsze pokolenie starało się nas, młodych Niemców, wychować na wzorowych Europejczyków. Jeździło się na wymiany młodzieży z Francją, rozmawiało się o wspólnej Europie. Ale była i druga strona medalu: „wymknięcie się historii”. Niemcy nie chcieli być kojarzeni z III Rzeszą, tylko z Europą. Nasi nauczyciele nie bardzo wiedzieli, co zrobić z latami 1933-45. Dla nas, uczniów, historia Niemiec kończyła się właściwie na roku 1933, a potem zaczynała się Europa. Tak było w pierwszej połowie lat 60.

W 1968 r. zbuntowani studenci zażądali, by pokolenie rodziców zaczęło przyznawać się do swojej przeszłości. Mocno czuło się to w Berlinie Zachodnim, centrum ówczesnej rewolty. Odeszła część profesorów, którzy nie wytrzymali presji, żądań większej demokracji na uczelniach. Tamten ruch przyniósł także wynaturzenia, terroryzm, ale w sumie dał o wiele więcej pozytywnych rezultatów niż złych. O ile Amerykanie narzucili Niemcom po wojnie demokrację polityczną, to aż do roku 1968 nie sięgała ona wszystkich dziedzin życia społecznego. Kiedy studenci stwierdzili, że nie mogą zburzyć ustroju, rozpoczęli tzw. marsz przez instytucje: po dyplomie wnieśli do instytucji, w których zaczynali pracę, ideały i tęsknoty demokratyczne.

Na tej fali został kanclerzem Willi Brandt z hasłem „Zaryzykujemy więcej demokracji” Zarzucił doktrynę swoich poprzedników, że RFN nie utrzymuje kontaktów dyplomatycznych z państwami, które uznały NRD. Wcześniej był wprawdzie słynny list biskupów polskich do niemieckich, ale to Brandt dokonał prawdziwego przełomu. Wkrótce podpisano traktat niemiecko-polski, który uznawał granicę na Odrze i Nysie.

Właśnie zdałam maturę i przesiąkałam na całe życie tym duchem, który unosił się wtedy w powietrzu. W Berlinie, potem w Hamburgu, studiowałam rusycystykę, filologię angielską i pedagogikę. Po studiach odbyłam staż w tygodniku „Die Zeit”, który redagowała hrabina Marion Dönhoff, urodzona w Prusach Wschodnich orędowniczka pojednania niemiecko-polskiego. Do dziś tłumaczę i wysyłam jej artykuły o niej z polskiej prasy.

– Na pograniczu nie wystarczy już polityka gestów, przemówień i wizytówek. Tu codziennie spotykają się tysiące Polaków i Niemców. Mieszkańcy pogranicza szukają w sąsiedztwie korzyści, konkretnej współpracy – mówi Andrzej Kotula z Biura Współpracy Międzynarodowej szczecińskiego magistratu, redaktor polsko-niemieckiego periodyku „Transodra”. Mamy tu Euroregion Pomerania. Na papierze wszystko jest tak, jak w małej Unii Europejskiej: gospodarka, przejścia graniczne, przepływ

technologii, szkolnictwo... Głównym celem jest zrównoważony – po obu stronach granicy – rozwój tego regionu.

Jednak rzeczywistość pogranicza skrzeczy. Najważniejsze decyzje gospodarcze i tak zapadają w Warszawie, a tam pogranicze jest bardzo słabo widocznie.

Gombrowicz i późny Gierek

W drugiej połowie lat 70. Polska zaczęła ściągać na studia coraz więcej cudzoziemców. PRL chciała pokazać, że jest otwarta na świat i trzeba przyznać, że wielu z uczących się w niej wtedy obcokrajowców jest dziś w swoich krajach „ambasadorami” Polski. Ja dostałam stypendium UNESCO na studia podyplomowe na Uniwersytecie Warszawskim. Jako temat badań podałam Witolda Gombrowicza. Do dziś podoba mi się jego postawa, świadomość, że człowiek dorosły i inteligentny nie może zrealizować swoich marzeń, jak ktoś, kto jest młody. Że tylko na chwilę można zrzucić tę słynną „gębę”. Jeśli chcemy być wśród ludzi, musimy choć trochę dopasować się do nich, owszem, zachować dystans do form, ale jednak ciągle odgrywamy coś wobec innych.

Wszystko, co teraz robię, ma swoje korzenie w tamtym roku akademickim 1977/78. Nie spędzałam go tylko w bibliotekach. Podróżowałam po kraju, poznałam wielu ludzi, zwykłych Polaków z czasów „późnego Gierka” – już niebojących się zanadto systemu, dających sobie jakoś radę w „gospodarce planowanej”. Skoro wszyscy mieli niewiele, panował spory luz, w rozmowach nie krępowano się zupełnie. Wiedziałam o niełatwym życiu opozycji, ale w porównaniu z ZSRR czy choćby NRD Polacy byli o wiele bardziej swobodni. Przyjechałam do Warszawy jako „Europejka”, ale Polacy nie pozwolili mi być „tylko”, czy „aż” Europejką. – Jesteś przecież Niemką – przypominali. Wcześniej mało wiedziałam o historii Niemiec. A w Warszawie niemal na każdym domu w Śródmieściu były tablice poświęcone rozstrzelanym przez gestapo, często leżały przy nich kwiaty, płonęły znicze. W tamtej szarej Warszawie bywały to jedyne kolorowe punkty. I Polacy chcieli o tym ze mną rozmawiać, choć z miejsca zastrzegali: – Ty urodziłaś się po wojnie, nie jesteś temu winna. Dla mnie taka rozmowa była jednak coraz bardziej potrzebą serca. Zaczęłam się interesować historią. Mogę nawet powiedzieć, że historię Niemiec poznałam poprzez historię Polski.

Po powrocie do Niemiec napisałam w „Die Zeit” długi artykuł o codzienności Polski i Polaków. Potem ktoś z wydawnictwa w Monachium zaproponował mi napisanie książki o Polsce. Zgodziłam się, ale przyszedł Sierpień 1980, „Solidarność”, stan wojenny. Wydarzenia kolejno „przewracali” to, co napisałam. Przerabiałam kolejne rozdziały, aż wreszcie w 1992 r. ukazało się „5 mał Polen” (Pięć razy

Polska), taki przewodnik po historii i jak i po współczesnym życiu w Polsce. Pisałam też sporo reportaży, recenzji polskiej literatury.

Upadek muru po raz kolejny zmienił moje życie. Trafiłam wtedy do Akademii Bałtyckiej w Travemünde pod Lubeką, organizowałam polsko-niemieckie konferencje naukowe. Kiedy Philipp von Bismarck, który jest prezydentem tej Akademii, podpisał umowę dzierżawy pałacu w Kulicach, zaproponował mi pracę w powstającym ośrodku polsko-niemieckim. Pałac po likwidacji PGR-ów stał pusty i niszczał. Odnowiono go z funduszy rządu niemieckiego i Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Choćby piłka nożna

– Czasami przeszkadza nam polityczna poprawność demonstrowana wyżej – mówi Andrzej Kotuła. – Zamiast rozwiązywać problemy, urzędnicy i politycy często chcą zademonstrować światu, jak wspaniale układają się współpraca na pograniczu.

– I jacy jesteście europejczy! – dorzuca Ilse Sarecki, która przez wiele lat uczyła języka niemieckiego w Szczecinie, a dzisiaj mieszka z mężem Polakiem w Ueckermünde. Przykład? Polsko-niemieckie gimnazja. Jedna z nich działa w Löcknitz, dojeżdżają do niego uczniowie z pobliskich Polic. – Fakt, że strona polska starannie selekcjonuje kandydatów, a po tamtej stronie trafiają do niego wszyscy, czasem budzi zawiść Niemców. Integrację utrudnia też to, że nasi dojeżdżają tylko na zajęcia i po szkole nie łączy ich choćby piłka nożna.

Nasze uczelnie długo nie uznawały świadectw z szkół zza Odry – absolwenci wybierający się na polskie uniwersytety musieli dodatkowo zdawać polską maturę. A przecież polscy uczniowie przerabiają w Löcknitz i w Policach równoległe dwa programy i dostają świadectwa niemieckiego gimnazjum i polskiego liceum.

– Mamy za sobą tak wiele doświadczeń, że wytykanie sobie spraw przykrych i błędów nie spowoduje napięcia między Warszawą a Berlinem. Niepotrzebnie mamy skłonność do hałaśliwej akcyjności i do popadania w „kicz pojednania” – mówi Andrzej Kotuła.

– I ogłoszenia kolejnego tygodnia polskiego w Niemczech lub festiwalu niemieckiego w Polsce – dodaje Ilse Sarecki.

Wnuki tu nie przyjeżdżają

Wielu starych Niemców przyjeżdża na Pomorze z „zasobem pamięci“, coraz częściej po to, by się nim podzielić z polskimi mieszkańcami, pokazać im rodzinne zdjęcia. W tym budowaniu pomostów mają swój udział ziomkostwa: pozwoliły wypędzonym kultywować pamięć i niejako ocalić przeszłość tych ziem. Inaczej niż w Polsce, gdzie aż do 1989 zrzeczenie się nie pozwolono wypędzonym z Kresów Wschodnich. 87-letni Philipp von Bismarck w 1945 r. opuścił pałac w Kulicach, gdzie od 1995 jest ośrodek Akademii Europejskiej Kulice-Külz. Gdy przyjeżdża tu czasem, nie umie ukryć wzruszenia, ale jego dzieci i wnuki tu nie bywają. Wypędzeni Niemcy dobrze znają te tereny i mają tu osobiste więzi. Mogliby inwestować, tworzyć miejsca pracy. Ale to już nie to pokolenie.

W Kulicach odbywają się konferencje dotyczące współpracy polsko-niemieckiej, od problemów wsi po integrację europejską. Jest coraz więcej działań w małej, regionalnej skali. Nie dają się one porównać ze współpracą na granicach wewnątrz Unii Europejskiej, gdzie w ciągu wieków wykształciła się specyficzna kultura pogranicza, a nawet język. Granica polsko-niemiecka nad Odrą istnieje dopiero od pięćdziesięciu lat, i to w zmiennych warunkach politycznych. Trzeba trochę cierpliwości.

Zanim ludzie w społeczności lokalnej zaczną działać, powinni wiedzieć kim są, gdzie żyją, czuć się pewne w tym miejscu. Organizujemy więc w Kulicach konferencje polsko-niemieckie na temat historii Pomorza, będziemy wspierać zakładanie muzeów regionalnych, w których znalazłyby się eksponaty z niemieckich izb pamięci urządzonych przez wypędzonych, jak i to, co przywieźli tu z sobą na Pomorze pierwsi osadnicy polscy w 1945 r. Zachęcamy mieszkańców Kulic, aby dawały zdjęcia na wystawę w Akademii.

– Jeśli dzisiejsi mieszkańcy chcą z tą ziemią współistnieć, muszą znać jej dzieje – uważa Bogdan Twardochleb, dziennikarz ze Szczecina. – Do niedawna odrzucaliśmy dużą część historii. Były dzieje Pomorza czasów Mieszka I, Chrobrego i Krzywoustego. Potem, aż do roku 1945, „wielka dziura“, na dnie której pojawiała się czasem jakaś słowiańska postać, Każko Słupski przy Kazimierzu Wielkim, czy księżna Anna Jagiellonka jako żona księcia Bogusława X. Historia „dziurawa“ jest historią skłamaną. Nie można mówić o przeszłości Pomorza Zachodniego bez Bismarcka, ten ród jest wpisany w dzieje Pomorza.

„Ojciec nasz” za Bismarcków

W codziennej pracy przynależność narodowa coraz mnie się liczy. Bywają konflikty, ale nie polsko-niemieckie, tylko konkretne. Kiedy przyszedł rynek, nastał koniec tzw. polnische Wirtschaft. Zarazem Polacy przestali być tak ciekawi świata, jak byli w czasach komunizmu. Rozumiem, że dziś nie mają tyle czasu, ile mieli dawniej, że są coraz bardziej zabiegani, aby na przyzwoitym poziomie utrzymać rodzinę. Jednak czasami żał mi tych niekończących się bezinteresownych rozmów na wszystkie możliwe tematy.

Wydaje mi się, że praca tych wszystkich „zawodowych pojednawców” – tak się mówi na nas w Niemczech – nie idzie na marne. Niedawno przyjechała klasa z gimnazjum w Szczecinie z nauczycielem historii. Poszliśmy do parku na grób matki Philippa von Bismarcka, Käte, opowiedziałam o niej, na koniec nauczyciel mówi, że w Polsce jest tradycja modlitwy nad grobem i słyszałam, jak tych czterdzieścioro dzieci głośno mówiły „Ojcze nasz”. Byłam wzruszona.

W latach 70. na Pomorzu zniszczono niemieckie cmentarze, ale zarówno odwiedzający Heimat – to słowo oznacza „małą ojczyznę” – Niemcy, jak i żyjący tu Polacy pamiętają, gdzie one były. Dziś ustawia się tablice z napisami po polsku i po niemiecku, zbiera resztki nagrobków. W czasach niemieckich były w Kulicach dwa cmentarze, z których przetrwało tylko kilka płyt. Zgromadziliśmy je przy kościele, ktoś jednak zabrał jedną z nich. Wkrótce dowiedziałam się, że jest u kamieniarza. Z administratorem i kucharką pojechaliśmy tam i bez kłopotów ją odzyskaliśmy. Do niedawna nie do pomyslenia – Niemka i dwoje Polaków odzyskują u Polaka niemiecki nagrobek. Tych dwoje Polaków i ja uważaliśmy po prostu, że ten kamień powinien wrócić tam, gdzie go położono.

LESZEK WOŁOSIUK